

ANDRZEJ SIEMIANOWSKI

Autobiografia

Urodziłem się 6 marca 1932 roku w Poznaniu. Ponieważ rodzice postali mnie do szkoły już w szóstym roku mego życia, dzięki temu jeszcze przed wybuchem wojny dowiedziałem się, że *Ala ma kota* i *kot ma Alę*. Mówiąc mniej żartobliwie było tak: w roku szkolnym 1938/1939 zdobyłem umiejętność czytania i pisania na podstawie *Elementarza* Mariana Falskiego. Uczęszczałem do męskiej szkoły w Poznaniu przy ulicy Słowackiego. Dziewczynki uczyły się w szkole sąsiedniej. Moją nauczycielką była Pani Słonińska (imienia nie pamiętam), siostra poznańskiego dziennikarza, Stefana Słonińskiego.

Urodziłem się
6 marca 1932
roku
w Poznaniu

Dzień 1 września 1939 roku zamiast w szkole spędziłem w piwnicy – schronie. Pamiętam dokładnie pierwszy nalot niemieckich samolotów na Poznań około godziny 12. A także drugi – o wiele dłuższy i groźniejszy – około 16. Pamiętam też zapewnienie sąsiada, podoficera rezerwy Romana Howiła wyruszającego na front, iż Niemcy na pewno do Poznania nie dotrą, a także opowieść dozorczy domu Szczepana Fajerskiego, który zapewniał, iż z balkonu (czwartego piętra) widział Francuzów wchodzących do Berlina. Toteż, kiedy 8 września na spacerze z babcią i siostrą Bożeną (pięć lat starszą ode mnie) spostrzegłem w pobliżu opery dwa samochody udekorowane chorągiewkami ze swastyką, zrodziło się we mnie, bodaj po raz pierwszy, uczucie sceptycyzmu.

W październiku podjęto zajęcia szkolne. Język niemiecki zajął w nich miejsce centralne. Mimo to, po paru tygodniach okupant uznał, że dzieci polskie na terenach włączonych do Rzeszy nie powinny się w ogóle uczyć i szkoły zamknął. Trochę pod tym względem lepsza była sytuacja na terenach tzw. Generalnego Gubernatorstwa. Istniały tam szkoły podstawowe oraz parę zawodowych (np. tzw. handlowki).

Mój ojciec – Jan – był rodowitym poznańczykiem, a z zawodu bankowcem. Zajmował przed wojną dość prestiżowe i dobrze płatne stanowisko prokurenta Komunalnej Kasy Oszczędności. Ponieważ rodzice do chwili wybuchu wojny byli niezłe usytuowani, dopóki nie chodziłem do szkoły, nie wyobrażałem sobie, iż można się cieszyć miską

Mój ojciec
był
rodowitym
poznańczykiem

owsianki czy mleka z makaronem. Ale gdy zacząłem uczęszczać do pierwszej klasy, zorientowałem się, że paru mych kolegów (zapamiętałem nazwisko jednego z nich – Wandzioch) niecierpliwie oczekuje dużej przerwy, w trakcie której będą mogli spożyć śniadanie (a może i obiad).

Ojciec
był
bankowcem

Jak wspomniałem – mój ojciec był bankowcem. Niewiele z jego zainteresowań zawodowych mnie pobudzało. Bliższe mi były i pozostają pasje dziadka – Józefa (od strony ojca), dziennikarza i działacza narodowego. A może, przyznam szczerze i pewne jego słabostki. Otóż dziadek Józef specjalnie nie dbał o swój wygląd. Tak dalece, iż kiedy skończył mowę powitalną 26 grudnia 1918 roku skierowaną do Ignacego Paderewskiego, od tego wielkiego pianisty i polityka otrzymał słowa serdecznego podziękowania, a potem dyskretną radę: *Redaktorze, kupcie sobie nowe portki.*

Religijność
i miłość do
literatury,
wpajała mi
matka

Religijność oraz miłość do polskiej literatury, zwłaszcza Mickiewicza, wpajała mi matka – Anna, z domu Strzelecka. Pochodziła z innych stron Polski niż ojciec. Urodziła się w Kielcach, a wcześniej osierocona, dzieciństwo i młodość spędziła w Piotrkowie Trybunalskim. Była nauczycielką, ale po zamążpójściu zawodowo nie pracowała.

Ojciec w trzecim dniu wojny pieszo szedł w stronę Kutna, aby przyłączyć się do wojska. Powrócił do domu, oczywiście pieszo, po wiadomości o kapitulacji Warszawy. W banku przejętym przez Niemców kazano mu odpracować trzymiesięczną zaliczkę wypłaconą 2 września wszystkim pracownikom. Po upływie trzech miesięcy z pracy został zwolniony.

Wywózki
i
eksmisje

Zaczęły się wywózki z Poznania lub eksmisje z lepszych mieszkań do piwnic. Gdy nadchodził zmrok, zaczynała się nerwowa atmosfera. Pytaliśmy czy przyjdą dziś po nas, czy też nie. Dopiero około północy udawaliśmy się na spoczynek, bo zwykle o tej porze już nie wysiedlano. Rodzice mieli przygotowane walizki i plecaki. Nie było wszakże pewności czy będziemy mogli je zabrać. Niekiedy część bagażu zatrzymywano już w mieszkaniu. A wielu rodzinom odebrano je w czasie rewizji w tzw. obozie przejściowym. Nam towarzyszyło szczęście. Gdy bowiem 8 marca 1940 roku byliśmy wysiedlani, to wyprowadzający nas policjant zachowywał się bardzo taktownie. *Ja na nic nie patrzę – powiedział – bierzcie państwo tyle, ile możecie unieść. Ja zostałem zmuszony do opuszczenia żony i dzieci.* Nie zabrano nam też nic w trakcie rewizji. Jedną noc spędziliśmy w obozie przejściowym Poznań – Główna. Rankiem następnego dnia zostaliśmy skierowani do pociągu pasażerskiego i to ogrzanego (wiele rodzin wywożono w wagonach bydłowych). Dano nam na podróż chleb i margarynę. Po trzech dniach dowieziono nas do Gorlic, a tam zostaliśmy skierowani do starej szkoły wyścielonej słomą. Posiłki otrzymywaliśmy z kuchni prowadzonej przez Polski Czerwony Krzyż. Stopniowo zgłaszali się mieszkańcy Gorlic ofe-



*Andrzej Siemianowski z siostrą Bożeną,
w środku służąca*

rując chęć przygarnięcia wygnańców. Nas przyjęła – podkreślam – Ukrainka a bliskich znajomych Żydówka. Wówczas Żydów pozostawiono jeszcze we względnym spokoju. Zmuszano jedynie do noszenia opasek z gwiazdą Dawida. Cała społeczność żydowska Gorlic została wymordowana w sierpniu 1943 roku. Nas wtedy w tym miasteczku już nie było.

Od sierpnia
1940
w Krakowie

Już w sierpniu 1940 roku w poszukiwaniu pracy udał się ojciec do Krakowa. Po czterech miesiącach poszukiwań, dzięki znajomości języka niemieckiego, znalazł zajęcie w urzędzie rolnictwa (der Landwirtschaftlichen Zentralstelle). Płace dla Polaków były tam niezmiernie niskie. Ale zatrudnienie chroniło przed wywózką na przymusowe roboty do Niemiec. Początkowo polscy pracownicy tego urzędu otrzymywali prawo nabywania chleba w dowolnej ilości. Ale nie trwało to długo – od jesieni 1941 roku ów przywilej skasowano. Przyszło nam żyć tylko z przydziałów kartkowych (przeciętnie 20 dkg chleba na osobę na cały dzień, 50 dkg buraczanej marmolady raz w miesiącu, ok. 25 dkg mięsa co dwa tygodnie, trochę cukru i cukierków otrzymywały dzieci do lat 12). Doświadczylem co to jest głód. A jeżeli dostawałem kawałek suchego chleba do szkoły, to tylko dlatego, iż matka sobie go od ust odbierała. Dorabiała wypiekami ciasteczek, które sprzedawała przekupkom pobliskiego targowiska. Dawało to nader skromne dochody. Ale każdy grosz się liczył. Pewnego dnia po wyjątkowo dobrym utargu przyniosła dla siostry i dla mnie niezwykle prezent... bulkę. Każde z nas otrzymało więc tylko połówkę. W dniu mych imienin w roku 1942 (30 listopada) znajoma rodziców obdarowała mnie najwspanialszym prezentem imiennym całego mego życia: bochenkiem chleba.

W szkole

Podjąłem naukę w Krakowie w szkole nr 11. Mieściła się ona na narożniku ulicy Starowiślniej i Miodowej. Praktycznie lekcje odbywały się nieregularnie i były prowadzone w różnych miejscach krakowskiego Kazimierza. Stała siedziba tej szkoły – obszerny barak – często był zajmowany przez niemieckie wojsko.

Kierownikiem szkoły był wspaniały człowiek – Aleksander Niweliński. Gorący patriota i wychowawca miał też swoje dziwactwa. Przekonany, że nie ma łatwiejszego przedmiotu niż matematyka, zupełnie nie liczył się ani z programem ani w dużej mierze z możliwościami uczniów. W szóstej i siódmej klasie wprowadzał elementy programu przedwojennego gimnazjum. Drugą pasją Pana Aleksandra była muzyka. Namawiał nas do zakupu chociaż prymitywnych fujarek i częstego muzykowania. Jednego instrumentu nie znosił. Mianowicie mandoliny. Powiadał, że to dla szewców. W ogóle – często wyrażał się dosadnie. Ale i precyzyjnie. Na lekcji geografii tak określił relację pomiędzy Wawelem a Skalką: *Jeżeli staniesz pomiędzy tymi miejscami, to prościutko możesz siusiać do Wisły*. 28 października 1943 roku w trakcie lekcji prowadzonej przez filologa klasycznego Stanisława Patonia (jednego

z wielu profesorów gimnazjów i liceów w sytuacji zamknięcia szkół średnich zmuszonych do pracy w szkolnictwie podstawowym) wszedł do klasy wzburzony Pan Aleksander, by krótko i donośnie powiedzieć: *Na ulicy Szerokiej, przed bóżnicą, nasi wrogowie rozstrzeliwują zakładników. Idźcie, popatrzcie i zapamiętajcie...* Zapamiętałem i dlatego zawsze gdy odwiedzam Kraków, w tym miejscu kaźni składam kwiaty.

Nadszedł styczeń 1945 roku. Tak jak Kraków błyskawicznie został przez Armię Czerwoną zdobyty (a tym samym, doceniśmy to, ocalony), tak też błyskawicznie uruchomiono po działaniach wojennych szkoły. W półroczu przerobiliśmy bardzo skrócony, ale treściwy kurs historii Polski oraz polskiej literatury (od Reja do Prusa, Orzeszkowej i Sienkiewicza).

Parę dni przed zakończeniem roku szkolnego 1944/1945 i rozdaniem świadectw udałem się do Pana Dyrektora z prośbą o szybsze wystawienie mi świadectwa, gdyż zbliżał się dzień powrotu naszej rodziny do Poznania specjalnym transportem. Nawiasem mówiąc podróż ta trwała osiem dni i w wagonach towarowych. Pan Dyrektor bez oporu spełnił prośbę. Po wypisaniu świadectwa wyciągnął głęboko schowaną w szufladzie biurka pieczęć z polskim godłem. W oczach Jego pojawiły się łzy. *Po sześciu latach – powiedział – mogę znów posłużyć się tą pieczęcią.* Żegnając się ze mną powiedział: *Żegnaj chłopcze i wracaj do miasta tak bliskiego sercu każdego Polaka.*

25 maja 1941 roku przyjąłem Komunię w kościele Bożego Ciała z rąk ks. Stefana Zagrodzkiego (kanonika regularnego laterańskiego), katechety w mojej szkole.

Zupełnie przypadkiem (a może nie przypadkiem) byłem na złotym jubileuszu tego kapłana (1984 r.) W drodze do Krościenka zatrzymałem się z kolegą Romanem Murawskim w Krakowie. Oprowadzałem go po Kazimierzu. Kończąc wędrówkę zaprowadziłem go do ukochanego przeze mnie kościoła Bożego Ciała. Kościół był przepelniony. Widzę nad ołtarzem cyfrę „50”. Z dala dostrzegam dostojnego jubilata. Przypycham się do zakrystii, aby sprawdzić przypuszczenie, że to jubileusz ks. Zagrodzkiego. Brat zakrystianin je potwierdza. Proszę więc usilnie o pozwolenie przejścia na ulicę przez klasztor, aby kupić kwiaty. Gdy wróciłem, ks. Zagrodzki spożywał śniadanie w gronie rodziny. Przypominam mu się. Z trudem – trudno temu się dziwić – zaczyna mu się coś kojarzyć. Pyta później co porabiam. Po udzieleniu przeze mnie paru wyjaśnień kiwa z uśmiechem głową i powiada: *Patrzcie, patrzcie, takie to grzeczne dziecko było, a zostało filozofem.*

W kościele Bożego Ciała w czasie okupacji byłem też ministrantem. Pełniąc tę funkcję zacząłem trochę teologizować. Nie mogłem np. pójść dlaczego w drugą niedzielę po Wielkanocy nie śpiewa się już pieśni wielkanocnych, a tylko maryjne. Pewien ksiądz trochę mnie zganił mówiąc: *Nie mądruj się, a śpiewaj Chwalcie łąki umajone.* Nie mogłem

Styczeń
1945
w wolnym
Krakowie

Ks. Stefan
Zagrodzki
i Kościół
Bożego
Ciała
w Krakowie



Andrzej Siemianowski w dniu Pierwszej Komunii świętej

też pojąć, dlaczego święta Zesłania Ducha Świętego nie obchodzi się tak uroczyście jak Boże Narodzenie czy Wielkanoc.

Ogrodnik klasztoru kanoników regularnych brat Alojzy pozwalał mi się bawić na terenie ogrodu. Wdzięczny mu za to pomagałem mu z własnej woli przy wrywaniu chwastów i w podobnych pracach. Otrzymywałem za to w lipcu i sierpniu torby pomidorów. Rzadziej – owoców. Przynosiłem te dary do domu z dumą. Dzięki bratu Alojzemu pojawiały się w naszym domu niekiedy ogrodowe kwiaty. To były dla większości Polaków w tym czasie towary luksusowe.

W lipcu 1945 roku chlubnie zdałem egzamin wstępny do gimnazjum i liceum im. św. Jana Kantego. Tematem pisemnego egzaminu była analogia zwycięstwa pod Grunwaldem z klęską Trzeciej Rzeszy. Rok później przeszedłem do *Marcinka*, czyli gimnazjum i liceum im. Karola Marcinkowskiego, w którym do 1949 lekcje religii prowadził imiennik i krewny wielkiego Karola – ks. Arnold Marcinkowski. O ile chlubnie zdałem egzamin wstępny, o tyle mniej chlubnie zapisałem się jako uczeń. Bardzo dużo czytałem. Pochłaniałem książki i czasopisma kulturalne, m.in. „Tygodnik Powszechny”, „Tygodnik Warszawski”, „Odrodzenie”. Ale do lekcji przygotowywałem się kiepsko. Dostawałem więc i słabe stopnie. Błyszczałem dosyć na lekcjach języka polskiego i historii. Zdarzyło więc mi się *utrwalac wiedzę* czyli repetować.

Popadłem szczególnie w konflikt w X klasie z matematyczką Zofią Załęską. Salwowałem się ucieczką do Liceum dla Pracujących, mieszczącego się w gmachu *Marcinka*. Nie byłoby to możliwe bez wyjątkowej życzliwości świetnego pedagoga jakim był dyrektor Jan Stoiński. W tej szkole dzięki zapobiegliwości dyrektora znalazł się wyjątkowo znakomity skład rady pedagogicznej. Wchodził do niej m.in.: Zofia Land, Ignacy Stein, Władysław Suchcitz (poloniści), Stanisław Sroka (matematyk), Kazimierz Abt (fizyk), Kühn (germanista i klasyk), Franciszek Barański (biolog), Bożydar Bielerzewski (historyk).

Egzamin maturalny zdałem w 1952 roku.

Popisałem się na nim nie tylko znajomością historii literatury lecz także (nie objętą programem) teorią literatury. Znakomicie też mi poszedł egzamin z historii oraz nauki o społeczeństwie. Słabiej, ale przyswoiłem, rozwiązałem zadania z matematyki. Natomiast fatalnie przebiegł egzamin z fizyki. Pozornie groźny, a faktycznie dobrotliwy Kazimierz Abt powiedział: *nie będę mu przeszkadzał*. Zrehabilitowałem się w tej dziedzinie znacznie później pisząc rozprawę doktorską dotyczącą m.in. metodologii fizyki. Niestety Pan Kazimierz wtedy już nie żył i dlatego nie mogłem mu podziękować za okazane zaufanie.

Pierwotnie zamierzałem studiować polonistykę. Egzamin wstępny zdałem pozytywnie, ale *z braku miejsca* na studia nie zostałem przyjęty. Później udało mi się dowiedzieć, że miałem fatalną opinię polityczną. Należałem do nielicznych, którzy nie zapisali się do ZMP (Związku

W gimnazjum i liceum św. Jana Kantego

W roku 1952 matura

Zabiegi o studia

Młodzieży Polskiej). I na dodatek *notorycznie* czytałem „Tygodnik Powszechny”. Po tej porażce podjąłem decyzję starania się o przyjęcie na filologię klasyczną, na którą ubiegało się bardzo mało osób. Prywatnie uczyłem się łaciny a równocześnie oglądałem się za jakąś pracą, by trochę zarobić na studia, które wówczas nie były prowadzone w Poznaniu. Miałem do wyboru Wrocław, Warszawę, Kraków. Wybrałem najmniej oddalony od Poznania Wrocław.

Świetlicowy

Przez pół roku tj. po maturze a przed podjęciem studiów pracowałem jako świetlicowy w Zjednoczeniu Robót Inżynieryjnych i z tej racji podlegałem Związkowi Pracowników Budowlanych i Ceramicznych. Ludzi owego Związku wspominam z sympatią. Doznałem od nich wiele życzliwości. Przede wszystkim świetną tym razem opinię na studia. Na terenie pracy w Zjednoczeniu Robót Inżynieryjnych bywało różnie. Podpadłem parę razy sekretarzowi POP PZPR Janowi Kostrzewie. M.in. wtedy, gdy przyozdobiłem świetlicę reprodukcjami polskiego malarstwa. Na jednej reprodukcji (chyba Gierymskiego) był pejzaż wiejski z kościołkiem. Sekretarz gniewnie stwierdził, iż szerzę klerykalizm i religianctwo. Gdy replikowałem, iż te reprodukcje wydało ministerstwo kultury, odpowiedział: takie reprodukcje robi się po to, by zapełnić muzea! Zamilkłem. Pana Kostrzewy bali się wszyscy od dyrektora począwszy. Był to czas szczytu stalinizmu. Najbardziej zastraszeni byli inżynierowie. Otuchy dodawali mi jedynie robotnicy. Jeden z nich powiedział mi aby głupcem się nie przejmował.

Rewolucja
poznańska
1956 roku

W marcu 1953 zgasło *słoneczko* czyli jeden z największych tyranów całych dziejów – Józef Stalin. Celebrowano niezmiernie pamięć wodza ludzkości *którego nauka żyje i zwycięża*. Ale już przed 1 maja dyskretnie powiedział mi jeden ze związkowców: *Wie Pan, coś zaczyna się zmieniać. Nie wolno przygotowywać na pochód karykatur zachodnich polityków*. W dniu pogrzebu Stalina bodaj o godzinie 12 zawyły syreny. Wszyscy mieli przerwać pracę i w milczeniu stać. Zdobyłem się na mały, chociaż wtedy też dość niebezpieczny akt odwagi: udałem się do ubikacji i tam przesiedziałem aż do wezwania powrotu do pracy.

W okresie studiów, o przebiegu których będę pisał niżej, dane było mi być świadkiem i uczestnikiem słynnego *poznańskiego czwartku 1956 roku*. Dnia zasługującego, zdaniem prof. Lecha Trzeciakowskiego, na miano nie wydarzenia, lecz *poznańskiej rewolucji 1956*. Popierając swą obecnością tak odwagę jak i odpowiedzialność robotników ok. godz. 13.30 otrzymałem postrzał w głowę. Przewieziony do kliniki przy ul. Przybyszewskiego, po prześwietleniu głowy zostałem przez lekarza poinformowany i pokrzepiony: *Masz bracie szczęście. Uratowało cię prawdopodobnie przechylenie głowy, skutkiem czego kula nie uszkodziła czaszki ani mózgu, lecz jedynie mięśnie. Niewiele brakowało, abyś stracił życie, a co najmniej abyś został sparaliżowany*. Operacja okazała się bardziej kłopotliwa niż na jej początku sądzono, gdyż nie

udało się kuli wydobyć w tym miejscu, w którym przeszła ona mięsień i trzeba było na żywo dokonać cięcia chirurgicznego i to po stronie prawej (a tylko lewa była znieczulona).

Ciężka była noc z 28 na 29 czerwca. Nie mogłem bowiem powiadomić rodziny, że żyję chociaż jestem ranny (ani my, ani sąsiedzi nie posiadaliśmy wtedy telefonu). Dopiero rano 29 czerwca jedna z pielęgniarek po skończeniu dyżuru poinformowała o moim pobycie w szpitalu. Dosłownie dwie godziny przed wypisaniem mnie ze szpitala w dniu 4 lipca (do którego jednak do końca sierpnia przychodziłem na kontrolę i zmianę opatrunku) zostałem wywołany na korytarz. *Jakiś pan chce rozmawiać z panem* powiedziała pielęgniarka czy salowa. Przypuszczałem, że owym panem jest funkcjonariusz Urzędu Bezpieczeństwa. I tak rzeczywiście było. Rozmowa była krótka. Ale jak się okazało była tylko wstępem do siedmiodziesiętnego przesłuchania, na które mnie wezwano 27 lub 28 lipca. I zasługuje na szczególną uwagę, że ponownie zostałem wezwany na przesłuchanie w czerwcu 1957 roku, czyli po *wiosnie październikowej*. Zostałem wezwany z Warszawy (gdzie pełniłem funkcję sekretarza redakcji „Więzi”) do Poznania. W Warszawie nie byłem zameldowany a sypiałem zwykle na podłodze bądź na czterech krzesłach redakcyjnego pokoju. Wcześniej korzystałem z niezwykle gościny Zygmunta Drozdka. Mieszkał on z żoną i dwójką małych dzieci w małym pokoju mieszkania zajętego przez trzy rodziny. Oddał mi do dyspozycji jedyne wolne miejsce pokoju: podłogę pod stołem, wyścieloną dwoma kocami.

Teraz zgodnie z zapowiedzią, trochę wspomnień o studiach. 1 września (to nie pomyłka – nie było to 1 października) rozpocząłem studia filologii klasycznej we Wrocławiu. Nie szły mi najlepiej, bo moje przygotowanie łaciny było słabe. Na dodatek okazało się, że nie mam szczególnych uzdolnień językowych. Jednocześnie ciągnęła mnie filozofia, której poświęcałem sporo czasu kosztem np. gramatyki opisowej. Rzecz ciekawa, znacznie lepiej powiódł mi się egzamin z gramatyki historycznej. Gdy zaszły zmiany polityczne roku 1956, podjąłem decyzję przeniesienia się na filozofię. Początkowo myślałem o Akademii Teologii Katolickiej. Złożyłem tam odpowiednie papiery. Nagle otrzymałem radę od dziekana, ks. prof. Kazimierza Klósaka, z którym wcześniej nawiązałem kontakt, abym papiery wycofał, bo ks. Prymas Wyszyński nie chce usankcjonować dokonanej przez władze komunistyczne likwidacji wydziałów teologicznych Uniwersytetu Warszawskiego oraz Jagiellońskiego i tym samym nie zamierza akceptować Akademii Teologii Katolickiej.

W tym samym czasie otrzymałem za pośrednictwem Jana Turnauna zaproszenie od Tadeusza Mazowieckiego abym przybył do Warszawy na organizacyjne zebranie zespołu redakcyjnego nowego pisma, które jeszcze nie miało tytułu (tytuł dla tego czasopisma – „Więź” – wymyślił Zygmunt Drozdek).

Przesłuchanie
przez UB

Studia

Zaproszenie
do „Więzi”

Mazowiecki
Seńka
Legowicz

Po zebraniu opowiedziałem Mazowieckiemu o swoich planach i kłopotach dotyczących studiów. Mazowiecki skierował mnie do Władysława Seńki, a ten do prof. Jana Legowicza. Mazowiecki jednocześnie zaproponował mi pracę w „Więzi”. Przyjąłem to zaproszenie. Jakże jednak trudno było pogodzić obowiązki sekretarza redakcji z normalnymi studiami. I oto w tej sytuacji prof. Legowicz zaproponował mi takie wyjście. Mam uczęszczać na seminarium i wykłady monograficzne a resztę zdawać w trybie indywidualnych studiów. Formalnie takiego trybu studiów wówczas nie było, ale niezwykła życzliwość najpierw prof. Legowicza, później prof. Leszka Kołakowskiego i jeszcze później prof. Klemensa Szaniawskiego i praktycznie całej Rady Wydziału Filozofii i Socjologii sprawiła, że mogłem pracować zawodowo i jednocześnie studiować.

Przebieg tych studiów był osobliwy. Najpierw napisałem pracę magisterską, a później dopiero zdawałem egzaminy. Zaliczono mi pewne egzaminy zdane we Wrocławiu na filologię. Z mojej i tylko z mojej winy czas zdawania przeciągnął się nadmiernie. Egzamin magisterski zdałem dopiero w październiku 1965 roku. Promotorem rozprawy był oczywiście prof. Legowicz, a recenzentem wówczas docent Władysław Krajewski.

„Pytanie,
wątpienie,
wybór –
Szkice
sceptyczne”

Stosunkowo szybko natomiast uzyskałem stopień doktora (cztery lata po magisterium) oraz doktora habilitowanego (sześć lat po doktoracie). Ponadto między magisterium a doktoratem opublikowałem pierwszą książkę, tom esejów i szkiców zatytułowany *Pytanie, wątpienie, wybór – Szkice sceptyczne*. Ta książka była w dużej mierze rozwinięciem idei zawartej w artykule *Spór o aktualną wartość tomizmu* opublikowanym na łamach „Więzi”.

Te publikacje oraz recenzja książki Mieczysława A. Krąpca oraz Stanisława Kamińskiego *Z teorii i metodologii metafizyki* przyniosły mi pewien rozgłos, ale też oburzenie i gniew wielu ludzi, zwłaszcza z kręgu filozofów KUL. Muszę wszakże dodać, że chociaż nie był nimi zachwycony również prof. Stefan Świeżawski, to jednak w przeciwieństwie do np. prof. Krąpca grzecznie ze mną rozmawiał i nie okazywał niechęci do mojej skromnej osoby. Przykro wspominać natomiast rozmowę z tak bardzo wybitną osobą, jaką była Hanna Malewska, która pełniąc funkcję redaktora „Znaku”, odrzuciła mój artykuł, w którym broniłem swych racji. Szczerze powiedziała: *Pański tekst jest rzeczowy i napisany spokojnie. Ale ojciec Krąpiec zrobiłby awanturę, gdyby pojawił się ten artykuł na łamach „Znaku”. A nam bardzo zależy na utrzymaniu z Krąpcem dobrych stosunków.*

Z prof.
Jerzym
Giedyminem

W roku 1965 nawiązałem w Poznaniu kontakt z prof. Jerzym Giedyminem. Chciałem pod jego kierunkiem zrobić doktorat. Przedstawiłem mu swe filozoficzne poglądy i trudną sytuację związaną z tym, iż nie jestem marksistą, ani ateistą, ale nie jestem też mile widziany w środowisku tomistów. Wiem, że mógłbym na krytyce tomizmu zro-

bić karierę, ale tego nie chcę. Wobec tego rozglądałam się za tematem światopoglądowo neutralnym. Po kilku rozmowach pewnego dnia, pod wpływem lektury jakiegoś (nie pamiętam autora) amerykańskiego filozofa nauki, Giedymin wiedząc o tym, że znam język francuski, zaproponował mi zajęcie się dorobkiem francuskiego metodologa i historyka nauki Pierre Duhema. Po przejrzaniu najważniejszych prac tego myśliciela propozycję Giedymina przyjąłem. W trakcie konwersatorium prowadzonego przez Giedymina omówiłem swe wstępne ustalenia. Goszczący na tym posiedzeniu emerytowany profesor Adam Wiegner gorąco mnie namawiał do kontynuowania mej pracy. Stwierdził wręcz, że napisanie monografii o Duhemie jest wielce pożądane. Adam Wiegner znając zarówno moje stanowisko wobec religii jak i zainteresowania filozoficzne pewnego dnia mi powiedział: *Podziwiam Pana, ale nie mogę pojąć, jak Pan ze swym trzeźwym spojrzeniem na świat łączy fideizm*. Wiegner był ateistą. I to twarzym. Nie był jednak marksistą. Nic dziwnego, że kiedy zmarł (1967), za jego trumną szło ok. 15 osób. Po pogrzebie historyk prof. Marian Jakóbczyk powiedział: *No tak, tak się żegna filozofa myślącego samodzielnie i nie korzającego się przed żadną władzą*.

W roku 1965 prof. Giedymin otrzymał zaproszenie do Anglii. Miał tam prowadzić wykłady w roku 1966/67. Giedymin był związany z Karolem Popperem. Poglądy tego myśliciela w Polsce popularyzował a jednocześnie twórczo rozwijał. Pierwsze kontakty z myślą autora *Logiki odkrycia naukowego* zawdzięczam wszakże prof. Witoldowi Marciszewskiemu. A dzięki nim zyskiwałem też życzliwość Giedymina. Parę dni przed odlotem do Anglii zaprosił mnie Giedymin do swojego mieszkania. Udzielił mi trochę wskazówek co do tego, co powinienem czytać w nadchodzącym roku. Niespodzianie i nie z mojej inicjatywy rozmawialiśmy o głośnej wtedy sprawie orędzia polskich biskupów do niemieckiego episkopatu oraz jego politycznych konsekwencjach. Giedymin był agnostykiem. Mimo tego żarliwie cenił postawę polskiego episkopatu, a zwłaszcza Prymasa Wyszyńskiego. Powiedział: *Jeżeli ktoś powołuje się na Ewangelię (ja tego nie czynię), to zobowiązany jest przebaczać prześladowcom*. Kpił z mowy Gomułki. Ironicznie zauważył, że pierwszy sekretarz PZPR poczuł się nestorem polskich historyków. Jesienią 1967, w tym czasie gdy z grupką paru osób brałem udział w pogrzebie prof. Wiegnera, dowiedziałem się, iż prof. Giedymin powiadomił władze uniwersytetu, iż nie zamierza do Polski wracać.

W tym czasie najbliższy współpracownik Giedymina, adiunkt w jego katedrze, dr Jerzy Kmita, kończył swą rozprawę habilitacyjną. Zapytałem go więc, czy zechce przejąć patronat nad moim doktoratem. Odpowiedział; *Dopóki nie odbędzie się me kolokwium habilitacyjne, nie mogę Panu składać żadnych obietnic*. Ale po przeprowadzonej habilitacji przychylił się do mej prośby. Wiele czasu mi poświęcił i sporo

Giedymin
Popper
Marciszewski

Jerzy
Kmita

Konwencjonalizm
Duhema

cennych rad i wskazówek podał. W rozprawie, w której początkowo chciałem podać jedynie interpretację metodologicznych poglądów Duhema, idąc za sugestiami Kmity, podałem klasyfikację rozmaitych stanowisk opatrywanych mianem *konwencjonalizmu*. Stąd wziął się i tytuł rozprawy: *O dwóch rodzajach konwencjonalizmu. ze szczególnym uwzględnieniem koncepcji P. Duhema*. Odróżniłem pogląd, iż wszelkie lub co najmniej niektóre twierdzenia i teorie nauki nie są ani prawdziwe ani też fałszywe od poglądu, iż wszystkie lub co najmniej niektóre twierdzenia i teorie empiryczne nie są jednoznacznie przez doświadczenie wyznaczone. Oba te poglądy nie są ze sobą sprzeczne. Ale – i to jest bardzo ważne – drugi, wbrew pozorom, nie implikuje pierwszego.

Marian
Przełęcki,
Jan Such

Recenzowali rozprawę prof. Marian Przełęcki oraz doc. Jan Such. Obie recenzje były zdecydowanie pozytywne. Przebieg obrony był bardzo spokojny. Wielką przyjemność sprawiło mi to, że w gronie Rady Wydziału zasiadał wtedy dr Jan Stoiński, dyrektor szkoły, w której otrzymałem świadectwo dojrzałości, a teraz wykładowca dydaktyki nauk historycznych. Gdy składał mi gratulacje, to wtedy przypomniałem mu swój egzamin maturalny i wszystko to, co zawdzięczam szkole, którą on kierował.

W drodze
do
Akademii
Teologii
Katolickiej

Z racji swego światopoglądu a zwłaszcza współredagowania „Więzi” nie miałem szans otrzymania etatu na żadnym uniwersytecie. Zainteresował się mną – powiadomiony o uzyskaniu przeze mnie doktoratu przez posła Janusza Zabłockiego – rektor ATK ks. prof. Józef Iwanicki. Ideę rektora zatrudnienia mnie w charakterze wykładowcy metodologii poparł bez wahania dziekan ks. prof. Kłósak. Nie sprzeciwiali się członkowie Rady Wydziału Filozofii ATK. W tym też prof. Mieczysław Gogacz, mimo że wcześniej napisał bardzo krytyczną recenzję *Pytania, wątplenia, wyboru*. Zgodę mojego zatrudnienia z władzami politycznymi, dokładniej z kierownictwem Wydziału Nauki Komitetu Centralnego PZPR załatwił wspomniany wyżej Janusz Zabłocki. Nie wysuwał żadnych zastrzeżeń Wielki Kanclerz Uczelni ks. prymas Wyszyński i to mimo niezliczonych o mnie sygnałów nadsyłanych przez niektórych filozofów KUL-u. Co więcej, gdy zostałem zatrudniony wtedy za pośrednictwem Zabłockiego, zaprosił mnie na prywatną rozmowę. Oczywiście zaproszenie przyjąłem z radością. Ale też z lękiem, bo przecież było ks. prymasowi znane moje krytyczne stanowisko wobec tomizmu. Tymczasem w czasie rozmowy nie usłyszałem żadnych pretensji czy ostrzeżeń. Powiedział mi natomiast, abym swoimi wykładami dał młodzieży świadectwo, że w filozofii nie ma nikt monopolu na mądrość. Zaznaczył też, że wśród marksistów trzeba odróżniać solidnych badaczy od propagandystów.

Rektor
Iwanicki

Doceniałem i doceniam dalej zasługi dla uczelnie rektora Iwanickiego. Nie cofam wygłaszanych wcześniej pod jego adresem laudacji,

mimo że dwukrotnie zostałem przez niego skrzywdzony. Pierwsza krzywda była stosunkowo łagodna. Druga bolesna. Gdy chodzi o pierwszą, to było to tak. W drugim roku pracy na ATK Iwanicki chwając moje zalety dydaktycznie równocześnie postawił mi zarzut, że w ramach wykładów z metodologii mówię o różnych naukach, zwłaszcza o fizyce, a nie filozofii. Przypomniałem mu, że gdy byłem przyjmowany na uczelnię, to właśnie zarówno on jak i dziekan Klósak prosili, abym unikał np. krytyki poglądów ks. prof. Stanisława Kamińskiego. Krótko – abym nie prowokował stale niechętnych mi KUL-owców. Prośby te potraktowałem serio. A tu nagle jestem wręcz zmuszany albo do kontynuowania mych wystąpień krytycznych na temat tomizmu i tomistów, albo do głoszenia czegoś wbrew żywionym przekonaniom. Od tego czasu początkowo bardzo dobre stosunki z ks. rektorem zaczęły się psuć.

W okresie mej pracy na ATK na ogół stosunki międzyludzkie nie były najgorsze. Ale odczuwałem też pewien dystans do mnie jako – po pierwsze – człowieka świeckiego – a po drugie – nie ukrywającego swych poglądów. Kilkakrotnie dano mi odczuć, że jako człowiek świecki nie powinienem wkładać palców w sprawy sporów między osobami duchownymi. Atmosfera na uczelni zaczęła się psuć po odejściu na emeryturę ks. prof. Józefa Iwanickiego i ministerialnej nominacji na stanowisko rektora ks. prof. Jana Stępnia. Dobrze wiem, że nominat przeszedł przez piekło stalinowsko – bierutowskich więzień. By skazany na śmierć, ale egzekucję odwlekano. Doczekał daru amnestii 1955 r. Później został zrehabilitowany. Ale w okresie wpływów frakcji nacjonalistyczno-antyżydowskiej PZPR, jako człowiek związany z ideologią Narodowej Demokracji, cieszył się pewnym poparciem owej frakcji. Im niewątpliwie zawdzięczał nominację na urząd rektora. Cieszył się też jednak poparciem wielu członków Episkopatu, bo jako teolog dość dystansował się od nowych i śmiałych koncepcji teologicznych płynących z Zachodu.

Ponieważ nie z winy władz uczelni, lecz skutkiem zarządzeń władz politycznych niezależnie od tego, o czym pisało się w rozprawie habilitacyjnej przedłożonej na ATK – to można było uzyskać stopień doktora habilitowanego tylko z zakresu teologii, a nie np. filozofii czy psychologii – podjąłem próbę otrzymania zgody na habilitowanie się w Instytucie Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk. Zdawałem sobie sprawę, że w razie zwolnienia mnie z pracy w ATK praktycznie nie będę miał żadnych szans znalezienia zajęcia na innej uczelni.

Obrałem sobie jako temat rozprawy habilitacyjnej sprawę relacji pomiędzy tzw. naukami teoretycznymi a praktycznymi inaczej stosowanymi. Gdy rozprawę ukończyłem, złożyłem odpowiedni wniosek do władz Instytutu Filozofii i Socjologii PAN. Chcąc wyrazić wdzięczność ks. Iwanickiemu za zatrudnienie mnie w kierowanej przez niego uczelni, poprosiłem dyrektora Instytutu prof. Tadeusza Jaroszewskiego o to,

Klemens Szaniawski

by jednym z recenzentów mej rozprawy był właśnie emerytowany rektor. A to był *mój historyczny błąd*. Ale o tym za chwilę. Rada Wydziału FiS PAN rozpatrzyła moją prośbę pozytywnie oraz wyznaczyła trzech recenzentów: zgodnie z moją sugestią ks. rektora Iwanickiego, a ponadto prof. Jerzego Kmitę oraz prof. Klemensa Szaniawskiego. Powiem szczerze, że byłem dość przerażony faktem wyznaczenia na recenzenta prof. Szaniawskiego. Uchodził on bowiem za egzaminatora i recenzenta bardzo wymagającego. Ale na szczęście nie złośliwego i stronniczego. W tym przypadku mój niepokój okazał się bezpodstawny. Prof. Szaniawski napisał bardzo pozytywną, wręcz entuzjastyczną recenzję. Bardzo dobrą opinię wystawił mi również prof. Kmita. Tymczasem ks. rektor konkludował, iż moja praca nie zasługuje na przyjęcie. Ale – dodał – jeżeli pozostali recenzenci będą innego zdania, to i on nie będzie głosował przeciw mnie. W tej sytuacji Rada Wydziału IFiS podjęła decyzję skierowania mej pracy do czwartego recenzenta, mianowicie do prof. Mariana Przełęckiego. Co prawda ta czwarta recenzja nie była tak entuzjastyczna jak Kmity i Szaniawskiego, ale nie mniej pozytywna.

Habilitacja

Powiadomiony o terminie kolokwium udałem się na rozmowę z ks. Iwanickim. Co się okazało. Ks. Iwanicki, nie wiem na jakiej podstawie, był przekonany że pozostałymi recenzentami są profesorowie marksiści: Tadeusz M. Jaroszewski oraz Janusz Kuczyński, ja zaprzedałem się marksistom, a on sam został obrany recenzentem dla zachowania pozorów. Gdy ujawniłem, że jednym z recenzentów jest prof. Szaniawski, ks. rektor dosłownie zaniemówił. Po chwili milczenia powiedział: *No tak, w pańskiej rozprawie poglądy Szaniawskiego omówione są poprawnie*. Ks. rektor zasugerował więc, że tak szanowany człowiek jak prof. Klemens Szaniawski odpłacił mi się za to, że cenię jego prace. Proszę się nie dziwić, że tę ostatnią rozmowę z ks.rektorem Iwanickim nazywam obrzydliwą.

Gdy po kolokwium (na które ks. Iwanicki nie przybył) ogłoszono przyznanie mi stopnia doktora habilitowanego – obok recenzentów szczególnie ciepłe słowa uznania otrzymałem od socjologa prof. Józefa Chałasińskiego oraz osoby znanej ze swej wyjątkowej odwagi i niezależności prof. dr Izdory Dąmbskiej.

Politechnika
Wrocławska

Już w 1974 roku otrzymałem od prorektora Politechniki Wrocławskiej Waclawa Kasprzaka propozycję zatrudnienia mnie na tej uczelni. Głównym inicjatorem tej propozycji był prof. Janusz Goćkowski – socjolog tamże zatrudniony, organizator wielu spotkań i konferencji, na których – jak na te czasy – panowała wyjątkowa swoboda słowa. O tym fakcie powiadomiłem dwie osoby z ATK. Zazaczyłem też, iż nie chciałbym całkowicie z warszawską uczelnią katolicką zerwać kontaktów. Szybko po tej dyskretnej informacji otrzymałem list podpisany przez prodziekana ks. prof. Tadeusza Ślipkę. Zawiadomił mnie, że przewidywane jest zwolnienie mnie z pracy w ATK, ponieważ mieszkam

w Poznaniu i dlatego nie mogę dostatecznie oddać się zadaniom oczekiwany przez władze uczelni. Przykre było dla mnie to, że sygnatariusz owego pisma pełniąc funkcję prodziekana też nie przebywał stale w Warszawie, ale dojeżdżał z Krakowa. Osobą dojeżdżającą był również dziekan prof. Kłósak i wielu innych pracowników.

Zdałem sobie sprawę z tego, że nie mam innego wyjścia jak przyjąć wrocławskie zaproszenie. Ale i tu pojawiła się nowa trudność. Władze partyjne sprzeciwiły się zatrudnieniu mnie w Zakładzie Filozofii. Rektor Politechniki Wrocławskiej Tadeusz Porębski znalazł jednak kompromisowe wyjście. Skierował mnie do... Instytutu Historii Architektury i Sztuki oraz powiadomił, że nie mogę prowadzić wykładów z filozofii, ale proponuje mi wykłady z historii nauki. Przyjąłem te warunki. Wielką radość sprawiło mi to, że chociaż nie były to wykłady obowiązkowe, to mimo tego przeciętnie na nie przychodziło około 100 studentów. Praktycznie prowadząc te wykłady nie mogłem z powodów merytorycznych pomijać wątków filozoficznych. Powierzono mi też funkcję promotora dwóch osób doktoryzujących się nie w zakresie nauk technicznych, ale w dziedzinie historii tych dyscyplin.

W roku 1974 zatrudniony jeszcze na ATK wziąłem udział w odbywającym się co roku na KUL-u Tygodniu Filozoficznym (uczestniczyłem też w dwóch pierwszych). Zapamiętałem z niego szczególnie charakterystyczny wypadek. Jednym z prelegentów był wówczas kardynał Karol Wojtyła. Po jego prelekcji zabrał głos jako pierwszy rektor prof. Mieczysław Krąpiec. Dziwił się, że prelegent mówiąc o godności ludzkiej osoby tak wiele miejsca poświęca nowożytnym filozofom np. Schellerowi, skoro wcześniej i lepiej na ten temat pisał św. Tomasz z Akwinu. Odpowiadając, przyszły papież – najpierw trochę żartobliwie, następnie niezwykle godnie i spokojnie powiedział: *Czemu tu, zamiast tego co nas, katolików, z innymi łączy, skupiacie się na tym, co dzieli.* Wtedy sąsiadowi powiedziałem cicho: *Kardynalska purpura chroni Wojtyłę, fiolety biskupie nie wystarczyłyby.*

Nastał pamiętny rok 1980. Strajkom robotniczym towarzyszyły protesty młodzieży akademickiej. Na wiecu studentów Akademii Ekonomicznej im. Oskara Langego we Wrocławiu wysunięto m.in. postulat odebrania wykładów filozofii p. Kim-Banach, Koreance z pochodzenia, lecz całkowicie zrusyfikowanej, władającej jednak świetnie językiem polskim. Osoba ta podawała się za marksistkę. Faktycznie głosiła apoteozę tylko Lenina. W tej sytuacji rektor uczelni prof. Józef Kaleta zaproponował mi przejście do kierowanej przez niego szkoły i prowadzenie wykładów z historii filozofii. Propozycję przyjąłem chętnie, chociaż z pewnym żalem żegnałem się z pracownikami Instytutu politechnicznego. A zwłaszcza z jego dyrektorem, prof. Rozpędowskim.

Radość była jednak krótka. Po ogłoszeniu stanu wojennego moja sytuacja była niełatwa. Odsuwano mnie od zajęć dydaktycznych. To,

Tydzień
Filozoficzny
KUL 1974

Akademia
Ekonomiczna
we
Wrocławiu

że nie zostałem z uczelni zwolniony, zawdzięczam głównie rektorowi Kalecie (członkowi PZPR). Zakrawa na paradoks, iż dopóki trwał stan wojenny i uczelnia podlegała władzy komisarza wojskowego, warunki pracy były znośne. Natomiast po odwołaniu stanu wojennego agresywnie odnosił się do mnie sekretarz komórki partyjnej Lucjan Szoltys i skupione wokół niego grono partyjnego *betonu*. Stale życzliwy wobec mnie rektor Kaleta zachęcał do przetrwania i cierpliwości bo – jak mówił – *w ZSRR budzą się prądy liberalne*. Co więcej, wystąpił w imieniu senatu uczelni z wnioskiem o nadanie mi stopnia profesora. Ciągłe naciskał ministerstwo mimo oporu lokalnych władz partyjnych.

Profesor

Wpłynęły trzy znakomite recenzje mojego dorobku naukowego (profesorowie J. Kmita, W. Krajewski oraz W. Marciszewski). Oburzony sekretarz Szoltys zażądał powołania czwartego recenzenta *solidnego marksisty*. Wybór padł na prof. Stanisława Kozyr – Kowalskiego. Ten wszakże zawiódł oczekiwania Szoltysa, bo nadesłał – nie kryję – recenzję więcej niż dobrą. Sprawa wtedy potoczyła się szybko. W Ministerstwie Edukacji Narodowej uznano, że wobec istnienia czterech recenzji i to bardzo pozytywnych, nie ma potrzeby powołania tzw. super-recenzenta. Dnia 18 lutego 1988 roku w Belwederze dokument nadania mi tytułu profesora nadzwyczajnego wręczył mi Kazimierz Barcikowski. Na dyplomie widniał podpis Przewodniczącego Rady Państwa – Wojciecha Jaruzelskiego.

Jelenia Góra
Wiedzi
Wrocław

Mimo profesury nie mogłem, choć o tym marzyłem, objąć wykładów na uniwersytecie. Co więcej, wobec silnego oporu *betonu* partyjnego zostałem skierowany na bok – mianowicie do filii Akademii Ekonomicznej w Jeleniej Górze. Tam odnoszono się do mnie życzliwie. A poza tym miałem wiele możliwości chodzenia po górach. Nadszedł rok 1989. Czas *okrągłego stołu* przeżyłem w Wiedniu dzięki stypendium Pax Christi wyjednanego dla mnie przez niezapomnianego Romana Brandstaettera. Od października 1989 roku na wniosek prof. Karola Bala zostałem przeniesiony do Uniwersytetu Wrocławskiego. Powierzono mi zajęcie z mej głównej specjalizacji tj. ogólnej metodologii nauk a także historii filozofii średniowiecznej. 1 grudnia 1993 r. zostałem powołany na stanowisko profesora zwyczajnego.

Oddział
„Więzi”
w Poznaniu

Od 1961 do 1990 roku prowadziłem w Poznaniu w mieszkaniu rodziców, a po ich śmierci moim oddział redakcji miesięcznika „Więź”. De facto to był raczej klub dyskusyjny a nie miejsce pracy dziennikarskiej. W tych czasach gdy zgromadzenie liczące ponad cztery osoby wymagało zgody władz, był to swoistego rodzaju luksus. SB nie mogła mi zarzucić, że organizuję spotkania nielegalnie. Co prawda, jak mniemam, miała swoje wtyczki, przynajmniej pośrednie. A mnie osobiście też nawiedzali i przepytawali co sam robię i co mówią inni. W pewnych okresach czasu owe odwiedziny miały charakter rutynowy. Miały na celu utwierdzenie mnie w przekonaniu, że władza – po pierwsze – czuwa,

a po drugie że i tak wie, co robię. W gorących dniach było inaczej. Najgorzej w 1968 roku po interpelacji posłów „Znaku” i sławetnej mowie Cyrankiewicza. Wyrażono najpierw ubolewanie, że nie włączyłem się do walki z syjonizmem. A po wtóre zażądano podania listy nazwisk młodszych uczestników spotkań, aby skonfrontować je z listą zatrzymanych, czy podejrzanych uczestników studenckich wieców. Kategorycznie odmówiłem temu żądaniu i *smutni panowie* dali mi spokój.

Parę razy próbowano mnie kupić podarkami np. magnetofonem. Sugerowano mi też, że mogę z powodzeniem ubiegać się o mandat poselski. Nie reagowałem ostro. Po prostu milczałem. Znalaziono zresztą innego kandydata na posła, który ochoczo propozycję przyjął, mianowicie Jerzego Ozdowskiego, który nawet doszedł do stanowiska wicepremiera *do spraw rodziny*. Nawiasem mówiąc Ozdowskiego poznałem w czasie wycieczki Klubu Inteligencji Katolickiej do Włoch. Przedstawił siebie od najlepszej strony. Po krótkiej wymianie wizyt po powrocie do Polski i z całkiem drobnymi, wcale nie politycznymi ani światopoglądowymi powodami, doszedłem do wniosku, że jest to człowiek kontrowersyjny, żeby nie powiedzieć dwulicowy. Jakoż do tego wniosku różne osoby z kręgu inteligencji poznańskiej, także duchowni, doszli znacznie później. Aby nie przyznać mi racji całkowicie, parę osób mówiło mi tak: Ozdowski źle teraz postępuje, ale dawniej był człowiekiem wspaniałym.

Jerzy
Ozdowski

Dzięki szczęśliwej idei mego przyjaciela, krytyka i eseisty, dziś raczej niestety zapomnianego Zbigniewa Pędzińskiego, osią działalności poznańskiej „Więzi” była aktywność ekumeniczna. Systematycznie po Bożym Narodzeniu i Wielkanocy odbywały się spotkania, w których prawie zawsze brali udział ks. Jan Walter (ewangelik), ks. Stefan Rogaczewski (baptysta), oraz ks. Jan Kus (metodysta). Bywali także świeccy członkowie tych chrześcijańskich Kościołów. Początkowo luźne były kontakty z prawosławnymi, ale z powodów technicznych. Ks. prof. Jerzy Klinger, prorektor Akademii Teologii Chrześcijańskiej, pełnił też funkcję proboszcza poznańskiej wspólnoty prawosławnej. Przyjeżdżał do Poznania tylko na sobotę i niedzielę i wracał po Mszy św. niedzielnej szybko do Warszawy. Oprócz tych świątecznych spotkań ekumenicznych odbyło się wiele innych, na których przedstawiciele różnych kościołów przedstawiali i wyjaśniali doktrynalne założenia swych wspólnot. Jeździłem z poznańskimi pastorami do Chodzieży, gdzie nabożeństwa i spotkania ekumeniczne organizował pastor parafii metodystycznej Janusz Ostrowski.

Ekumenia

Wracając do „więziowych” spotkań chcę zaznaczyć, że przewinęło się przez nie sporo znanych osobistości. M.in. z „Więzi” (oczywiście): Tadeusz Mazowiecki, Juliusz Eska, Janusz Zabłocki, Zygmunt Drozdek, Jan Turnau, Zdzisław Szpakowski, a ze środowiska krakowskiego Jerzy Turowicz, Stanisław Stomma (chyba czterokrotnie), Stefan Wilkanowicz,

Jeszcze
o „Więzi”
w Poznaniu

Jacek Woźniakowski, Marek Skwarnicki. Z kręgu duchowieństwa poznańskiego gościli głównie dominikanie (Joachim Badeni, Kalikst Suszyło), oraz chrystusowcy (Edward Szymanek, Stanisław Stefanek (późniejszy biskup), Bogusław Nadolski). Księża diecezjalni bywali rzadko, bo ani „Więzi” ani też całego tzw. środowiska *znakowego* nie darzył zaufaniem arcybiskup Antoni Baraniak. Mogę dziś jednak ujawnić, iż bywał na nich przemily ks. prof. Ludwik Wciórka.

W Bazylei

W roku 1989 byłem delegatem archidiecezji poznańskiej na Europejskim Zgromadzeniu Ekumenicznym w Bazylei. Wyróżnienie to zawdzięczam ks. Leonardowi Polochowi, proboszczowi kościoła Najświętszego Zbawiciela w Poznaniu, który przez pewien czas był referentem kurialnym do spraw ekumenii. W pełni mą kandydaturę zaakceptował arcybiskup Jerzy Stroba, z którym miałem okazję kilkakrotnie rozmawiać. Arcybiskup Stroba na pewno nie należał do kręgu tych duchownych katolickich, którzy do aktywności ekumenicznej przywiązują szczególną wagę. Ale niemniej – podczas pierwszej z nim rozmowy – poinformowany o mej działalności ekumenicznej nie wyraził do niej żadnych zastrzeżeń.

Konflikty
w „Więzi”

W zespole miesięcznika „Więź” po miodowych latach przyjaźni i harmonijnej współpracy pojawiły się konflikty, które ostatecznie doprowadziły do rozłamu i odejścia z zespołu paru współzałożycieli tego czasopisma (Janusz Zabłocki, Zygmunt Drozdek i Rudolf Buchała). Konflikty te ujawniły się wyraźnie już w 1962 roku. Głównie między Mazowieckim a Zabłockim. Niebawem powstały dwie frakcje. Ja nie przystąpiłem do żadnej i w miarę swych niezwykle skromnych możliwości starałem się je rozładowywać. Przyznawałem w zależności od przedmiotu sporu raz rację Mazowieckiemu, a kiedy indziej Zabłockiemu. Ten mój zawity *ekumenizm* wspierał moralnie Jerzy Zawieyski, który swym autorytetem przyczynił się do osłabienia wątpliwości i obaw pierwotnie przejawianych wobec „Więzi”, zarówno w kręgach duchowieństwa jak i środowiska „Tygodnika Powszechnego”. Niestety konflikt w zespole *więziowym* nie gasnął, lecz wzrastał ku zadowoleniu władz politycznych, zwłaszcza Urzędu do Spraw Wyznań.

Janusz
Zabłocki

Oczywiście nie tu miejsce na dokładne opisanie sytuacji w zespole „Więzi”. Żyjąc niekiedy zastrzeżenia do zachowania Mazowieckiego i jego poglądów w pewnym momencie podjąłem decyzję zerwania kontaktu z grupą Zabłockiego skupioną w Ośrodku Dokumentacji i Studiów Społecznych. Mianowicie wtedy, gdy w głosowaniu parlamentarnym dotyczącym zmian w konstytucji Zabłocki nie zdobył się na gest, na który z całego koła „Znak” zdobył się jedynie Stomma. Patrząc z perspektywy odległego już czasu uważam, że ten inteligentny w końcu człowiek, któremu jakoś ufał Prymas Wyszyński, popełnił wtedy polityczne samobójstwo. Podczas rozmowy ze mną we wrześniu 1989 roku Zabłocki wyznał mi, że zupełnie nie przychodziło mu do głowy, że nadchodzi czas upadku Związku Radzieckiego

Z Zabłockim ponownie podjąłem współpracę przystępując do odradzającego się Stronnictwa Pracy. Autorytetem moralnym był tu nie Zabłocki, lecz mecenas Władysław Siła-Nowicki. Zapisalem się do Stronnictwa Pracy gdyż sądziłem, że chrześcijańska demokracja może i powinna odegrać rolę podobną do tej, jaką w czasach powojennych spełniła chadecja w Niemczech czy we Włoszech. Na kongresie, na którym zmieniono nazwę partii na Chrześcijańsko-Demokratyczne Stronnictwo Pracy, prezesem został wybrany sędziwy Siła-Nowicki. Ja zupełnie nieoczekiwanie stałem się jednym z jego zastępców. Niestety pojawiające się spory wewnętrzne spowodowały, że wystąpiłem z ChDSP.

Chrześcijańsko-
-Demokratyczne
Stronnictwo
Pracy

Podjąłem jeszcze jedną próbę. Zapisalem się do Partii Chrześcijańskich Demokratów. Dałem się nawet namówić do startowania w wyborach do Sejmu. Wiedziałem, że nie mam prawie żadnych szans. Chodziło mi tylko o wypełnienie listy kandydatów. Po tym, jak lider Paweł Łączkowski bez konsultacji z członkami partii wszedł do rządu Hanny Suchockiej, zorientowałem się, że i w tej partii nie mam co robić. Moje kandydowanie przyniosło mi wszakże pewną satysfakcję. Arcybiskup Jerzy Stroba dzieląc się oplatkiem na spotkaniu Klubu Inteligencji Katolickiej powiedział mi: *Głosowałem na Pana, ale w gruncie rzeczy zadowolony jestem z tego, co się stało. Szkoda Pana do tego bagna.*

Partia
Chrześcijańskich
Demokratów

Arcybiskup Stroba w przeciwieństwie do wielu duchownych, w tym Hierarchów, dostrzegał w kręgach kierowniczych „Solidarności” jeszcze przed nocą stanu wojennego poważne wady. I trzeba stwierdzić, że jego oceny w dużej mierze były trafne. Ale ostrzeżenia niestety były daremne. O postawie Arcybiskupa poznańskiego, a także o słynnym dramatycznym apelu ks. Prymasa Glempa w dniu ogłoszenia stanu wojennego rozmawiałem długo, ale bezowocnie ze znanym autorytetem ze środowiska poznańskiego. Dziwił się on wielce, iż nie podzielałem jego opinii, że w ogóle śmiem myśleć inaczej. Oczywiście każdy może popełnić błąd. Jedyny, o ile wiem, solidarnościowy poseł z Poznania, prof. Ganowicz, krótko przed swoją śmiercią przyznał, iż należał do kręgu tych, którzy błędnie oceniali postawę arcybiskupa Stroby. Prof. Ganowicz był związany z Unią Wolności. Do tego ugrupowania politycznego miałem dystans. Mimo to muszę wspomnieć, że prof. Ganowicz był jedną z nielicznych osób, z którymi można było rozmawiać spokojnie i który nie oburzał się na to, że nie zawsze podzielałem jego poglądy.

Arcybiskup
Stroba

Muszę tu dać jeszcze jedno świadectwo. Po odwołaniu stanu wojennego w Akademii Ekonomicznej we Wrocławiu słowa największego potępienia gen. Jaruzelskiego padały nie zawsze ze strony ludzi związanych z „Solidarnością”. Potępiali go ludzie partyjnego *betonu*. Mógł on zmiażdżyć – mówiono – całą kontrewolucję, ale tego nie chciał. Mógł wrogów marksizmu skierować do łupania kamieni. A tego nie zrobił. Wiedząc o tym, poparłem na burzliwym zebraniu warszawskie-

Świadectwo

go Klubu Inteligencji Katolickiej prof. Andrzeja Świąćickiego, który wyraził gotowość przystąpienia do organizowanej przez Jaruzelskiego Rady Konsultacyjnej. Aprobowałem zarówno decyzję Świąćickiego, jak i np. prof. Krzysztofa Skubiszewskiego oraz paru innych osób. Nie mogłem i nie mogę pojąć dotąd dlaczego jednych za to samo się potępią, a innych nie.

„Serce
za serce”

Za mą aktywność ekumeniczną otrzymałem symboliczną, ale cenną nagrodę (medal) od parafii Kościoła Polsko-Narodowego w Lublinie. Mimo że akurat na rzecz tej wspólnoty kościelnej niespecjalnie – ani jako referent ani jako autor publikacji – nic nie zrobiłem. Inicjator nagród „Serce za serce” ks. Bogusław Wołyński, zmarł niespodzianie we wrześniu 2000 roku.

Doдам, że książka „Filozoficzne podłoże rozłamu chrześcijaństwa” zawdzięcza swe wydanie opinii ś.p. emerytowanego profesora Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej, byłego superintendenta kościoła metodystycznego oraz byłego przewodniczącego Polskiej Rady Ekumenicznej – Witolda Benedyktowicza.

Papieski
Wydział
Teologiczny
w Poznaniu

Na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza na wniosek ks. prof. Ludwika Wciórki podjąłem dla doktorantów wykłady o teologii prawosławnej. A dzięki niezwykle życzliwemu a zarazem pracowitemu człowiekowi, jakim jest ks. Feliks Lenort, wyszła najpierw ma książka „Tomizm a palamizm”, a później „Ogólna metodologia nauk. Wprowadzenie dla studentów teologii”, „Poznanie a język. Czy poznawanie jest czynnością moralnie podejrzaną? Czy myślenie jest grzechem.

W roku 1998 ks. dziekan Tomasz Węclawski zaproponował mi objęcie stanowiska kierownika Zakładu Teologii Ekumenicznej. Propozycję przyjąłem. Ale z powodów mi nie znanych nie została ona zrealizowana. Prowadzę wszakże, w szczupłym gronie, seminarium z zakresu teologii ekumenicznej.

O teologii i duchowości prawosławia prowadziłem też wykłady popularne w ramach studium dla osób świeckich, prowadzonym w Poznaniu przez o.o. Karmelitów.

W roku 1993 opublikowałem książkę „Filozoficzne podłoże rozłamu chrześcijaństwa”. A trzy lata później „Proces hellenizacji chrześcijaństwa i programy jego dehellenizacji”. Obie prace ujawniają jeden z wielu korzeni rozdarcia chrześcijaństwa. Nawiasem mówiąc, w drugie z tych publikacji znalazło się sporo usterek skutkiem niedbale przeze mnie przeprowadzonej korekty. Nikt mi dotąd tego nie wytknął, więc ja sam siebie oskarżam. Na podstawie tych prac chciałem otworzyć przewód doktorski z teologii na Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej. W czasie ustnej rozmowy z rektorem ks. arcybiskupem Jeremiaszem (Anchimiukiem) uzyskałem aprobatę i zachętę. Napisałem więc oficjalne podanie. Niestety nie otrzymałem żadnej odpowiedzi.

Cofnę się tu ponownie do roku 1980. Z ks. prof. Wciórką wziąłem udział w Kongresie Filozoficznym w Bergamo. Po kongresie udaliśmy się do Rzymu i tam korzystaliśmy z gościny o.o. Karmelitów. Odlataliśmy z Warszawy trzy dni po podpisaniu historycznych umów w Szczecinie oraz w Gdańsku. W związku z tym cieszyliśmy się szczególnie życzliwością włoskich organizatorów Kongresu. Rozumiejąc, że w dużej mierze myślą jesteśmy w Polsce, informowali nas o tym, co w naszej ojczyźnie się dzieje, co mówią radio i telewizja. Podczas pewnej prelekcji wpadł na salę pan odpowiedzialny za zakwaterowanie i wyżywienie uczestników Kongresu i z właściwym Włochom temperamentem głośno zawołał: *Panie Siemianowski, Kania – jakiś Kania pierwszym sekretarzem rządzącej u was partii* (mówił oczywiście po włosku).

Bergamo
1980

Gdy zawitaliśmy do Bergamo zauważyliśmy, że w wielu miejscach powiewają czerwone chorągwie. Odbywało się bowiem święto „Unity” organu włoskich komunistów. Na festynie orkiestra regularnie po czterech innych utworach grała w rytmie tanecznym... Międzynarodówką. Podczas zwiedzania miasta w godzinach wieczornych przyczepił się do nas jakiś pan. Gorąco zachęcał do udziału w zabawie, zaznaczając, że włoscy komuniści w przeciwieństwie do radzieckich czy np. polskich to bardzo przyzwoici ludzie, którym trzeba zaufać.

Na drugi dzień w czasie obrad ku naszemu zdziwieniu spotkaliśmy tego pana z czerwoną wypustką przy koloratce. Okazało się, że jest to profesor seminarium duchownego i prałat pochodzący z Chile.

W latach 1990-1995 prowadziłem wykłady logiki dla studentów Akademii Ekonomicznej w Poznaniu. Przedmiot ten wyeliminowano z programu studiów. Ponieważ wcześniej zgłosiłem propozycję wprowadzenia wykładów etyki, szczególnie życia gospodarczego, została wysunięta moja osoba jako kandydata do prowadzenia takich wykładów. Czulem się do nich w pewnym stopniu przygotowany, gdyż przez trzy lata prowadziłem zajęcia z zakresu metaetyki na Akademii Teologii Katolickiej. Zaproponował mi je wspomniany wyżej ks. prof. Tadeusz Ślipko, który oświadczył mi, iż nie zawsze z moim stanowiskiem się zgadza, więc chce, aby studenci seminarium magisterskiego przez niego prowadzonego spotkali się z innymi poglądami. Postawę prof. Ślipki w tej sprawie bardzo sobie ceniłem i miło ją wspominam.

Akademia
Ekonomiczna
w Poznaniu

Chęć prowadzenia wykładu etyki zgłosił równocześnie marksista prof. Władysław Kot. Niebawem pojawiła się jeszcze trzecia kandydatura o. Macieja Zięby – wówczas duszpasterza akademickiego w Poznaniu.

Niezręcznie prowadzona na rzecz mojej osoby aktywność przewodniczącej „Solidarności” wywołała atmosferę, w której źle się poczułem. Nie prowadziłem żadnych działań propagandowych, aby tę dziwną wojnę wygrać. Ogłoszono plebiscyt wśród studentów, z których większa część wybrała wykłady Kota, a mniejsza o. Zięby. Nie ukrywam, że mam bardzo głęboki żal do o. Zięby, że nie zechciał spotkać się ze mną



Andrzej Siemianowski z żoną Lidią

aby chociaż dowiedzieć się o całej sytuacji. Żartowano, że *Siemianowskiego urządzili komuch oraz mnich*. Nie ukrywam, że żywię pewną sympatię do Kota, który w przeciwieństwie do wielu tak ekonomistów jak filozofów nie zmienił radykalnie swoich poglądów. Wolę takich ludzi niż tych, którzy łatwo przestroili swe stanowisko do nowych warunków.

Sporo ludzi nie mogło też pojąć, że ja, członek zespołu „Więzi” nie podzielałem entuzjazmu wobec gabinetu Mazowieckiego. Inna rzecz, że uważałem i uważam dalej, że Mazowiecki jest jednym z niewielu polityków polskich bardzo przyzwoitych.

Od bardzo wielu lat rozróżniam ludzkie postawy od poglądów. Dlatego też całkiem obce jest mi klasyfikowanie postaw ludzi wedle kluczy typu prawica, lewica itd. Tym, którzy tak dziś psioczą na wszystkich ludzi o rodowodzie lewicowym przypominam takie postacie jak Władysława Bieńkowskiego czy zwłaszcza Jana Strzeleckiego.

Moi rodzice, za co Bogu dziękuję, żyli dość długo. Oboje zmarli w tym samym wieku – osiągnąwszy 80 rok życia. Z tym, że matka była trzy lata od ojca młodsza. Odeszła więc trzy lata po nim. Kochałem ich oboje, ale bardziej matkę. Jestem szczególnie jej wdzięczny za wychowanie, poświęcenie mimo że jako dziecko byłem niekiedy przez nią karany, a później upominany.

Moi rodzice

Decyzję założenia własnej rodziny podjąłem późno, wtedy gdy miałem już 46 lat. Rok po śmierci ojca. Niestety dokonałem niezbyt, mówiąc ostrożnie, szczęśliwego wyboru partnerki. Nie chcę się o tym rozpisywać i wystawiać jej złego świadectwa. Na szczęście krótki epizod małżeński zakończył się bardzo szybko, a Sąd Kościelny po wnikliwym zbadaniu sprawy uznał małżeństwo za nieważne. Sprawa rozwodowa w sądzie cywilnym potoczyła się błyskawicznie. Zdaję sobie sprawę z tego, że te wydarzenia jeżeli nie skróciły to w każdym razie zatrzymały ostatnie miesiące życia matki. Przykro mi powiedzieć, nie wskazując żadnych osób, że akurat niektórzy ci ludzie, którym uprzednio pomagałem w ich trudnych chwilach, bardzo mnie wtedy zawiedli. Księdzu profesorowi Marianowi Fańce zawdzięczam, że jakoś wewnątrz siebie się uspokoiłem. Po cywilnym rozwodzie, ale przed orzeczeniem Sądu Kościelnego matka moja zmarła.

Epizod małżeński

Mimo że miałem ręce rozwiązane, nie kwapiłem się do ponownego zawarcia związku małżeńskiego. Podjąłem natomiast decyzję uzgodnioną z mą siostrą, osobą niezamężną, przygarnięcia dziecka z jakiegoś Domu Dziecka. Pomocy udzieliły mi siostry ze Zgromadzenia Koniającego Jezusa, potocznie zwane Szarymi Urszulankami. I tak pojawił się w mym domu Zbyszek liczący wówczas jedenaście lat. Przyszedł pierwszy raz tuż przed Wigilią 1989. Do czasu ukończenia Szkoły Podstawowej pozostawał w Lipnicy. Przybywał do nas na wakacje i święta. Później po przyznaniu mi przez Sąd Rodzinny w Szamotułach prawa

Zbyszek

opiekuna zamieszkał razem ze mną i siostrą oraz stryjem i stryjenką, którym po śmierci matki zaproponowałem pokój po rodzicach.

Lidia Znacznie później, bo dopiero w 1993 roku zawarłem ponownie związek małżeński. Tym razem szczęśliwie. Poczułem się za swe cierpienia, a także krzywdy, wynagrodzony. Żywię jednak, niekiedy jakieś uczucie winy nie zawinionej. Małżonka moja – Lidia (znacznie ode mnie młodsza), straciła pierwszego męża w 1992 roku. Ilekroć znajduję się nad grobem pierwszego męża Lidii, powtarzam sobie: Czy moja nagroda musiała być okupiona przedwczesną jego śmiercią?

Agnieszka
Monika
Paulina Spotkało mnie jeszcze jedno szczęście. Nie było żadnych oporów ze strony córek Lidii – Agnieszki, Moniki oraz Pauliny. Zwłaszcza Paulina, najmłodsza, z którą mieszkamy, opowiada wszystkim, że jestem lepszym ojczymem niż niejeden ojciec. Cenię to tym bardziej, że pierwszy mąż Lidii był dobrym człowiekiem i czułym ojcem.

W mieszkaniu moim jest teraz (piszę te słowa 5 marca w przededniu 70 urodzin) mnóstwo kwiatów i mały zwierzyniec: dwa psy (jeden siostry), kot, papuga, królik – miniaturka, dwa żółwie oraz akwarium z rybkami.